



NOAH UCIEKA Z DOMU W CZESNYM RANKIEM  
- ZANIM WSTANIE SŁOŃCE, ZANIM OBUDZĄ SIĘ PSY,  
ZANIM MGŁA OPADNIE NA POLA.

Ośmioletni Noah uważa, że o wiele łatwiej poradzi sobie z problemami,  
jeśli nie będzie musiał o nich myśleć. Dlatego ucieka, ucieka daleko,  
drogą, która wiedzie do lasu, a tam trafia do osobliwego sklepu  
- pełnego wyjątkowych zabawek i cudownej magii.

Poznaje niezwykłego właściciela sklepu i twórcę zabawek.  
Mężczyzna opowiada mu swoją historię - snuje opowieść o przygodzie,  
o złożonych i złamanych obietnicach.

I zabiera chłopca w wyjątkową podróż, która zmieni jego życie.

Ta podróż może zmienić także Twoje życie.

Zachwycająca, słodko-gorzka opowieść realizmu magicznego,  
pełna zabawy słowem, którą czyta się z przyjemnością  
od początku do końca. Chwyta za serce, emocjonalna podróż Noaha  
doprawiona jest szczyptą absurdu i humoru,  
a na drodze bohatera staje wiele oryginalnych postaci.

„The Daily Mail”

MBP Cieszanów  
Noah ucieka /



M000010275

EMV  
ECHOM

TVP  
abc

Wydawnictwo  
lażki

www.lazki.pl



JOHN BOYNE  
NOAH UCIEKA

BŁYSKOTLIWA

Philip Ardagh „Guardian”

# NOAH UCIEKA

JOHN BOYNE

ilustracje: OLIVER JEFFERS



ZIELONA  
SOWA

Powieść autora  
„Chłopca  
w pasiastej  
piżamie”

## Rozdział siedemnasty

### Marionetka pana Quakera

Wkrótce po wizycie u Króla i Królowej – rzekł starzec – powróciłem pewnego dnia ze szkoły i ujrzałem niezwykły widok: w sklepie z zabawkami stał klient i gawędził z Papciem. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zaszło coś podobnego – osioł i jamnik byli właściwie jedynymi, którzy kiedykolwiek odwiedzali nasz sklep – a gdy dzwonek przy drzwiach zdał sobie wreszcie sprawę, że tam stoję, i zadźwięczał bez przekonania, mężczyzna obrócił się i klasnął w dłonie z radości.

– A to zapewne pański syn – powiedział krzykliwym, afektowanym głosem.

– Tak, to on – odpowiedział cicho Papcio.

– Jest niższy niż się spodziewałem.

– Wciąż jest bardzo młody – powiedział Papcio.

– Jeszcze nie przestał rosnąć. Właściwie to dopiero zaczął.

– Hmm, mam nadzieję – powiedział mężczyzna, po czym podszedł do mnie, chwycił mnie za rękę i gwałtownie nią potrząsnął. – Pozwolisz, że się przedstawię. Nazywam się Quaker. Bartholomew Quaker. Zapewne o mnie słyszałeś?

– Nie, proszę pana – przyznałem.

– Ojej – powiedział pan Quaker, marszcząc czoło tak, że aż zniknęło pod fałdami. – To wielkie rozczarowanie. Oraz poważny cios dla mojego ego. Ale mniejsza z tym. Jestem oficjalnym selekcjonerem drużyny naszej wsi na tegoroczne igrzyska olimpijskie. O nich, mam nadzieję, słyszałeś? – dodał, obracając się ku Papciowi i śmiejąc się z całego serca, jakby udał mu się wyborny dowcip.

– Nie, proszę pana – powtórzyłem, wzruszając ramionami.

– Nigdy nie słyszałeś o igrzyskach olimpijskich? – spytał osłupiały pan Quaker, pochylając się i zdejmując okulary, żeby lepiej mi się przyjrzeć. – Chyba nie mówisz poważnie!

– W sklepie z zabawkami życie upływa nam bardzo spokojnie, panie Quaker – powiedziałem. – Obawiam się, że mało wiem o świecie. Chociaż ostatnio odwiedziłem Króla i Królową i...

– Ależ mój chłopcze – przerwał mi pan Quaker. – Olimpiada to największe wydarzenie sportowe, jakie świat widział. Powstała, by szerzyć braterstwo między narodami oraz by świętować wybitne sportowe osiągnięcia. Niektórzy sportowcy całe życie poświęcają przygotowaniom do igrzysk, a zdobycie medalu stanowi szczyt ich kariery.

– Brzmi to jak świetna zabawa – powiedziałem, truchtając w miejscu, żeby pobudzić krążenie krwi.

– Zapewne chce pan, żebym wziął w nich udział?

– Naturalnie! – przytaknął pan Quaker. – Wieści o twoich biegowych wyczynach szybko się rozchodzą.

I ze wstydem muszę przyznać, że nasza wieś nie zdobyła żadnego medalu od czasów wielkiego Dymitra Capaldiego. Mamy nadzieję, że zdołasz to zmienić. Brzemie tak wielkich oczekiwań bywa zbyt ciężkie dla młodych ramion, ale z tego, co słyszę, twoje są wystarczająco silne, by je unieść. Co ty na to? Chyba nas nie zawiedziesz?

– Jeśli Papcio się zgodzi – odpowiedziałem, spoglądając na ojca – to bardzo chętnie.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Papcio, a ból nadchodzącej rozłąki już odbijał się na jego twarzy. – Igrzyska odbywają się bardzo daleko. Poza tym powinienś pomyśleć o szkole. Nie wolałbyś zostać tu ze mną? Wiem, że nasze życie trudno nazwać ekscytującym, ale...

– Zwrócimy go panu, zanim pan zdąży zauważyć jego nieobecność – przerwał pan Quaker, obawiając się, że mnie zniechęci. – Jedno mnie ciekawi – dodał, zwracając się do mnie. – Słyszałem, że biegasz od niedawna. – To prawda – przytaknąłem. – Wcześniej nie umiałem tak szybko biegać. Moim nogom sporo brakowało. Ale odkąd skończyłem osiem lat... no cóż, wiele się wtedy zmieniło.

– Wolno zapytać, w jaki sposób?

– Mój syn nie lubi mówić o przeszłości – powiedział Papcio, wychodząc zza lady i opiekuńczo obejmując mnie ramieniem. – Dość powiedzieć, że zanim przenieśliśmy się do tej wsi, mój syn był kimś zupełnie innym. Lecz kiedy postanowił zostać chłopcem – to znaczy grzecznym chłopcem, chłopcem, którym zawsze

chciał być – no cóż, wtedy zdał sobie sprawę, że posiada pewne... dary. Umiejętność szybkiego biegania jest jednym z nich.

– Och, tym proszę się nie przejmować. – Pan Quaker się rozpromienił. – W moim zawodzie spotyka się najróżniejszych ludzi. Nie oceniam ich. Nikogo nie oceniam, proszę pana – powtórzył, jakby chciał zostać dobrze zrozumiany. – Wie pan, że kiedyś pracowałem z chłopcem, który spędził pierwsze pięć lat życia uwięziony w szklanej szybie? Doskonale sobie radził na koniu z lękami i na poręczach, niestety w kwalifikacjach uplasował się na ostatnim miejscu. Było to wielkie rozczarowanie. To go kompletnie rozbiło. A na przedostatniej olimpiadzie inny chłopiec, który był faworytem do złota w wyścigach rydwanów, jadąc na finały, zostawił w pociągu swoje poczucie humoru i w ogóle nie był w stanie skupić się podczas zawodów. Oczywiście już tu nie powrócił. Wciąż się błąka, usiłując odnaleźć zgubę, ale nigdy mu się to nie uda. No i z pewnością słyszałeś o Edwardzie Bunsonie z sąsiedniej wioski?

– Nie, proszę pana – odrzekłem, wytrzeszczając oczy z ciekawości.

– Był ich wielką nadzieją na sukces w zawodach płotkarskich – westchnął pan Quaker. – Ale w dniu imprezy na widok tłumów, które przyszły go zobaczyć, dostał strasliwych dreszczy i nie był w stanie wystartować. Potem przez lata tamte pola nie mogły się doczekać nowego płotu. Bardzo przykra sprawa.

– Są na świecie gorsze rzeczy niż niezdobycie medalu – powiedział Papcio. – Młodość sama w sobie

jest nagrodą. Ja jestem już stary i moje nogi nie są tak sprawne, jak powinny. Łupie mnie w krzyżu. Jestem ślepy na jedno ucho i głuchy na jedno oko.

– Chyba odwrotnie, Papciu – pokręciłem głową.

– Właśnie że nie – upierał się Papcio. – Właśnie że nie, mój chłopcze! I to właśnie jest najgorsze.

– Wszystko to jest szalenie interesujące – powiedział pan Quaker, zerkając na zegarek – ale niestety spieszę się na pociąg i nie mogę stracić całego dnia na próżne pogaduszki. Ufam, że po powrocie będę mógł powiedzieć komitetowi, że zgodziłeś się na start? Uznamy to za wielki zaszczyt.

– Naprawdę bym chciał – powiedziałem z szerokim uśmiechem.

– A szkoła? – wykrzyknął zdesperowany Papcio.

– A twoja edukacja?

– O to nie musi się pan martwić – powiedział pan Quaker, uderzając szybko trzy razy laską o ziemię w taki sposób, że zacząłem się zastanawiać, czy zamierza wykonać magiczną sztuczkę. – Mamy zasadę, że na każdą setkę niepełnoletnich zawodników w drużynie zatrudniamy jednego w pełni wykwalifikowanego nauczyciela, który udziela im lekcji. Bardzo poważnie podchodzimy do kształcenia młodych sportowców.

– A ilu chłopców wysyłacie na igrzyska? – dopytywał Papcio sceptycznie. – Będą inni w jego wieku?

– Tylko pański syn – z dumą odpowiedział pan Quaker. – Oznacza to, że nauczyciel nie będzie potrzebny, co nam zaoszczędzi wydatków, więc nie zmarnujemy ani pensa z pańskich w pocie czoła

wypracowanych podatków. – Pochylił się i uderzył pięścią w ladę. – W tym scenariuszu wszyscy wygrywają, czyż nie?

Papcio westchnął i odwrócił głowę, potrząsając nią z rezygnacją. – Naprawdę chcesz jechać? – spytał mnie po kilku chwilach, obserwując, jak wykonuję zestaw ćwiczeń izometrycznych.

– Oczywiście, że tak! – powiedziałem.

– I obiecujesz wrócić?

– Przecież wróciłem ostatnim razem, prawda?

– Obiecujesz? – nalegał Papcio.

– Obiecuję.

– Więc, jeśli rzeczywiście pragniesz tego z głębi serca, nie będę ci stawał na drodze. Możesz jechać.

Ku powszechnemu zdumieniu zostałem pierwszym sportowcem, który zdobył złoty medal na 100 metrów, 200 metrów, 400 metrów, 800 metrów, 1500 metrów, 5000 metrów i 10 000 metrów na jednych igrzyskach olimpijskich. Zdobyłem nawet srebro w biegu na 400 metrów przez płotki, ale byłem tak rozczarowany tą porażką, że aż do tej pory nigdy o niej nie wspomniałem. Została nawet prędko usunięta z mojej oficjalnej biografii. Byłem też pierwszym olimpijczykiem, który w pojedynkę wygrał sztafetę 4 x 400 metrów, dzięki przekazywaniu pałeczki samemu sobie w skomplikowanym manewrze, który od razu przeszedł do legendy.

Nikt nie biegał szybciej ode mnie. To niezaprzeczalny fakt.

Kiedy igrzyska się skończyły, przypominałem sobie obietnicę daną Papciowi i uznałem wówczas,

że nadszedł najwyższy czas, aby powrócić do domu, jednak w tym samym czasie zacząłem otrzymywać ekscytujące propozycje.

Cesarz Japonii zażyczył sobie zobaczyć chłopca, który pozbawił japońską gwiazdę lekkoatletyki, Hachira Tottori-Gifu, tak wielu medali na igrzyskach, więc pobiegłem przez całą Europę i Rosję aż do Kazachstanu, a następnie przez Chiny skierowałem się do Tokio, by pokonać kilka okrążeń stadionu w Cesarskim Mieście na oczach Syna Niebios. Jego własny syn, książę dziedzic, wyzwał mnie na wyścig i choć odniosłem wyraźne zwycięstwo, byłem dość wspaniałomyślny, by nie pokonać go zbyt dużą różnicą czasu. Bądź co bądź Japończycy pokrywali koszty mojego zakwaterowania i wszelkie wydatki.

– Bardzo dziękuję – przemówiłem potem do wiwatujących tłumów. – Teraz muszę wrócić do domu, tak jak obiecałem.

Lecz zamiast tego udałem się szybko do Ameryki Południowej, gdzie grupa bojowników o wolność zaprosiła mnie do wzięcia udziału w ich odbywającym się tradycyjnie dwa razy do roku Dniu Bez Broni, święcie, podczas którego wszystkie strony pewnego politycznego sporu spotykały się i przez dwadzieścia cztery godziny uczestniczyły w swego rodzaju konkursie talentów. Postanowili co roku zapraszać jakiegoś zagranicznego gościa i tamtego roku nadeszła moja kolej.

– Ty myśleć, że ty szybki, co? – spytał pewien generał, wypuszczając kłęby dymu z cygara, kiedy zobaczył, że przebiegłem przez las w rekordowym czasie.

– Ty myśleć, że ty dużo mądry. – Wydawał się nieco urażony, choć sam mnie zaprosił.

– W rzeczy samej, panie generale – odpowiedziałem, próbując jednego z jego cygar, po czym zaraz zwymiotowałem na własne buty. – Ale teraz naprawdę powinienem wracać do domu, tak jak obiecałem.

Lecz w drodze do domu zahaczyłem o Włochy, gdzie papież rzucił mi wyzwanie polegające na obiegnięciu placu Świętego Piotra tysiąc razy w jedno popołudnie. Zgromadziły się tłumy, by mnie podziwiać i zagrzewać do biegu, a ja poczułem, że lubię być w centrum zainteresowania i nie chcę, żeby to się skończyło.

– Zapraszam do moich prywatnych apartamentów – powiedział potem papież, kładąc mi ręce na ramionach. – Zjedz ze mną tiramisu.

– Nic z tego, Ojcze Święty – pokręciłem głową. – Naprawdę muszę wracać do domu, tak jak obiecałem.

Po drodze trafiłem do Hiszpanii, gdzie w Pampelunie ścigałem się z bykami, potem pobiegłem na północ, do Barcelony, na uroczystości z okazji Dnia Świętego Jerzego, gdzie obsługiwałem wszystkie stragany z książkami i kwiatami, biegając od jednego do drugiego, gdziekolwiek pojawił się klient, a całe miasto stanęło, podczas gdy ja pędziłem po ulicach.

Zbliżając się do domu, odczułem wreszcie zmęczenie i postanowiłem przez kilka dni odpocząć w Zachodnim Corku, zatrzymując się, by zostać jednym z sędziów w dorocznym Skibbereńskim Konkursie Wyspiarskich Piękności – towarzyszył mu festyn, na który przybywają wszyscy irlandzcy mężczyźni, kobiety i dzieci,

by przez jeden dzień brać udział w wyścigach, śpiewać buntownicze pieśni i dyskutować o recesji. Poproszono mnie, bym wygłosił przemówienie, ale odparłem, że wolałbym zaprezentować, jaki jestem szybki, na co pewna młoda kobieta z widowni rzuciła na scenę pęk kluczy.

– Wydaje mi się, że zostawiłam odkręcony kran – powiedziała, po czym podała mi adres w Donegal, jakieś trzysta mil stamtąd. – Zechciałbyś się tam udać i sprawdzić to dla mnie, chłopcze?

– Nie zostawiła pani – odpowiedziałem kilka chwil później, odrzucając jej klucze wraz z czerwoną kurtką z grubej wełny – ale pomyślałem, że przyda się pani okrycie. Na horyzoncie zbierają się deszczowe chmury.

– Matka i ojciec mogą być z ciebie dumni! – krzyknęła kobieta, a tłum znowu zaczął wiwatować.

– Wielkie dzięki – odpowiedziałem. – Ale nie mam matki. Jedynie ojca. I powinienem natychmiast do niego wracać, tak jak obiecałem.

Stamtąd popłynąłem statkiem do Londynu, gdzie zatrzymałem się przez kilka dni na festiwalu literackim i biegałem od jednego do drugiego spotkania z pisarzami tak prędko, że podmuch powietrza sam przewracał kartki ich książek, dzięki czemu mieli obie ręce wolne, żeby jednocześnie trzymać kufle i wytykać innych palcami. I nieważne, jak próbowałem, jak wielkie podejmowałem starania, by powrócić do wioski, nieustannie wyrastały przede mną niepokonane przeszkody. Zawsze gdzieś czekały na mnie tłumy, ciągle nadchodziły kolejne zaproszenia. Kolejny festyn,

na którym musiałem się pojawić. Kolejny wyścig, w którym musiałem wystartować. Myśl o Papciu nigdy mnie jednak nie opuszczała, a choć usiłowałem zapomnieć o danej przeze mnie obietnicy powrotu do domu, byłem świadom, że lata mijają, szkolne dni są już dawno za mną, a ojciec z pewnością nie robi się młodszy.

Dopiero kiedy zabłądziłem do Petersburga i pędziłem, nie męcząc się i nie robiąc przerw, w wielkim kole przypominającym kołowrotek dla chomików ku ucieśze cara i jego żony, imperatorowej Rosji, sprawy przybrały dramatyczny obrót. Przyszedł do mnie list. Przerwałem więc bieg i wyszedłem z chomiczego kołowrotka. Odczytując słowa listu raz za razem, poczułem, jak w oczach wzbierają mi łzy. Spytałem młodego członka cesarskiej straży, kiedy odchodzą pociągi z Petersburga, na co otrzymałem odpowiedź, że pociągi są okropnie wolne, okropnie rzadkie i okropnie zimne.

– Ale ja muszę wrócić do domu – powiedziałem. – Mój ojciec jest umierający.

– Przykro mi – odrzekł młody strażnik, wzruszając ramionami i wydając się prawdziwie zatroskany, że nie może służyć mi większą pomocą – ale teraz nie ma żadnego pociągu.

– Muszę więc pobiec – powiedziałem. – I obiecuję, że tym razem nikt mi nie przeszkodzi.

I przynajmniej tej obietnicy dotrzymałem.